



**34. Łódzki Przegląd Teatrów Amatorskich
– ŁÓPTA 2021 –
edycja online**

DZIEŃ 2: 10.10.2021 r.



Słowem wstępu

Witamy na 34 Łópcie, która po raz drugi odbywa się w formie wirtualnej. W ubiegłym roku zastanawialiśmy się jak bardzo pandemia wpłynęła na teatr i sam festiwal. Niemal do ostatniej chwili nie mieliśmy pewności, czy się odbędzie, a jeżeli tak, to w jakiej formie. No i jednak się odbył. I to w jakim stylu! W tym roku, podanie jak w ubiegłym, zgłosiło się naprawdę wiele zespołów, a spektakli jest tyle, że spokojnie wypełniłyby cztery, a może i pięć dni, klasycznej Łópty.

Łódzki Przegląd Teatrów Amatorskich nabrał prawdziwie ogólnopolskiego charakteru. W tym roku zgłosiły się teatry z niemal całego kraju. A i dzięki swojej formie, zasięg jest nawet ogólnosiwiatowy. Szesnaście lat temu, kiedy po raz pierwszy miałem okazję być na Łópcie, nie przeszło mi przez myśl, że kiedyś tam, spektakle prezentowane na tym festiwalu, będzie można obejrzeć w Australii, Anglii, czy Wietnamie. A teraz? Nic nie stoi na przeszkodzie.

Oczywiście można narzekać, że jak to tak? Teatr, to spotkanie na żywo, rozmowa! Owszem, to prawda, sam też tak uważam i mam nadzieję, że kolejna edycja odbędzie się już stacjonarnie. Korytarze i sale Łódzkiego Domu Kultury, ponownie wypełnią się uczestnikami festiwalu. Twórcami i widzami. A w przerwach, będą trwać ożywione dyskusje na temat spektakli.

Jednak wiecie co? Świat się zmienia. Pamiętam, że wiele lat temu, w przerwie obiadowej chodziliśmy coś przekąsić do nieistniejących już budek z jedzeniem, pod dworcem Łódź Fabryczna. Później do nieistniejącej pizzerii, znajdującej się na parterze ŁDKu. Nie było Bramy Miasta, a obok domu kultury, stał nieistniejący już hotel Centrum. Sala kolumnowa, podobnie jak i cały Łódzki Dom Kultury, były przed remontem. I mogę wspominać z łezką w oku, ale chcę też zauważać nowe możliwości. Może 35 edycja będzie miała formę hybrydową? Spektakle będą grane w ŁDKu i jednocześnie streamowane na żywo, do sieci? Może niektóre teatry, które zgłosiły się po raz pierwszy, w przyszłości odwiedzą Łódź? Myślę, że przed nami jeszcze wiele, wiele dobrego. A tymczasem wracam do oglądania spektakli!

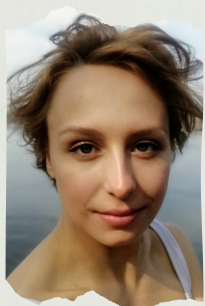
Remigiusz Pilarczyk

Nasza redakcja



Agnieszka Kowalczyk

Od dwudziestu lat działa aktorsko i reżysersko, amatorsko i zawodowo. Począwszy od amatorskiego Teatru pod Lupą w Łódzkim Domu Kultury, poprzez musical Skrzypka na dachu w Teatrze Muzycznym w Łodzi, reżyserię kilku spektakli w tym własnego monodramu, aż do stworzenia teatru dla mieszkańców w Bieszczadach i wyreżyserowaniu spektaklu Bieszczadzkie Szalone Nożyczki, po odkrycie tam nowej pasji i pomysłu na życie czyli fryzjerstwa. Po ukończeniu stosownych kursów oraz pracy w salonie fryzjerskim w Łodzi, powróciła w Bieszczady, by tworzyć nowe spektakle i fryzury.



Julia Lewandowska

Poznanianka, pragnie utrwalać rzeczy w ich nietrwałości - nawet, jeśli chodzi o obierki po warzywach. Współtworzyła studencki teatr tańca współczesnego „Kolnspiracja”. Występowała z Teatrem Pijana Sypialnia, Stowarzyszeniem Living Space Theatre oraz w Ośrodku Praktyk Teatralnych w Gardzienicach. Absolwentka Akademii Sztuk Teatralnych na Wydziale Teatru Tańca w Bytomiu, pracuje w Teatrze Rozbark. W ciągu ostatnich lat często wykorzystuje siebie jako instrument (ale gra też na gitarze i Rav drumie przy ognisku). Marzy o życiu w teatrze na łodzi. Z pasją tworzy portrety, pejzaże i notatki z podróży.



Remigiusz Pilarczyk

Dobry chłopak z Łodzi. Pół życia spędził w teatrze, a będzie to już więcej lat, niż mają najmłodszy uczestnicy Łópty. W zasadzie, to jego staż teatralny jest już pełnoletni. A jego staż zawodowy, powoli kończy trzecią klasę podstawówki, bo ma już 9 lat. Swoją pierwszą Łóptę (XVIII edycja) pamięta lepiej, niż pierwszego cukierka od swojego dziadka. Wieloletni uczestnik, później widz, a od kilku lat również autor recenzji dla Łóptaka. Aktor a jak trzeba to i reżyser. Parę razy coś tam nawet wygrał, trochę świata zwiedził. Ostatnio wymyślił, że otworzy teatr prywatny. Dobry chłopak, dzień dobry mówi. Miłośnik weluru.



Jakub Lisiak

Były aktor teatru California. Obecnie montażysta w korpo i w wolnych chwilach na YouTube. A tych mało, gdyż czas po pracy spędza na zabawach z rocznym synem.



Alicja Tranda

Cale życie uprawia szpagat między sztukami pięknymi, a użytecznymi, co skończyło się zdobyciem tytułu inżyniera architekta oraz naderwaniem mięśni podczas treningów tańca współczesnego. Do teatru offowego trafiła meandrując między różnymi formami śpiewu, tańca i jogi. Zdomowała się na jakiś czas w Teatrze Chorea i w Chórze Teatru Chorea, obecnie współpracuje z Connecting Arts & Theatre Dance Company oraz jest project managerem Light.Move.Festival. Prostuje pogięte ścieżki życiowe na międzynarodowym kursie trenerów wokalnych Modern Vocal Training.



Kamil Tomasz Bończyk

Kamil Bończyk obliczył że teatrem zajmuje się już pół życia. Ukończył Akademię Sztuk Teatralnych w Krakowie na Wydziale Teatru Tańca w Bytomiu. Obecnie pracuje na śląskiej ziemi w Teatrze Rozbark w Bytomiu, zdarza mu się być wykładowcą na Akademii Muzycznej w Łodzi, oraz na wspomnianym Wydziale Teatru Tańca. Szuka odpowiedniego dla siebie ruchu, łudząc się że kiedyś go znajdzie. Z natury jest nieco sarkastyczny, ale zyskuje przy bliższym poznaniu.



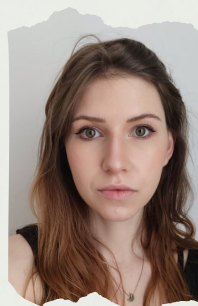
Dariusz Zakrzewski

Aktor, lalkarz, człowiek śpiewający. Ukończył Akademię Teatralną m. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie, Wydział Zamiejscowy w Białymstoku. Od wielu lat gra na scenie i prowadzi warsztaty teatralne. Nie wyobraża sobie dnia bez muzyki i jazdy rowerem. Zanurza się w film. Kocha teatr ożywionej formy. Oraz nie je martwych zwierząt.



Anita Tomczak

Aktorka po filmówce i kulturoznawstwie. Improvizuje w życiu i na scenie (Teatr Improwizacji Tadam). Lubi radzić innym, jak żyć, zwłaszcza podczas prowadzenia zajęć teatralnych oraz reżyserowania spektakli z młodymi gniewnymi w rolach głównych. Koordynuje siebie, artystów i techników podczas Light.Move.Festival. Wielbicielka niesystematycznej nauki gry na ukulele, koncertów rockowych, psychiatrii i true crime.



Pola Lepakhina

Była aktorka teatru California. Z Łóptą związana od 2012 roku. Początkowo jako uczestnik, a później jako recenzentka. Aktualnie pracuje jako grafik designer, bo mimo wiletniej przygody z teatrem, to sztuki wizualne okazały się jej najbliższe. W wolnych chwilach tworzy kolaże i maluje ściany. Z czasów aktywności aktorskiej za najbardziej traumatyczne przeżycia uważa premiery i krzyki: "Czemu nie znacie tekstu?".



Tomasz Hołubowicz

Z wykształcenia literaturoznawca, a bez wykształcenia aktor, tancerz i programista. Czasem filozof. Minął się z powołaniem, bo miał zostać kotem. Doświadczenie gromadził przez parę lat pod Teatrem Chorea w Łodzi, aby później przenieść się do Rzeszowa i współpracować z Teatrem o.de.la. Wielbiciel rozwiązań najbardziej absurdalnych; będąc aktorem wciąż próbuje umykać popadaniu w rolę i poszukuje drugiego człowieka bez spotkania jakiegokolwiek człowieka.

Teatr Fundamentum „Baśnie Italo Calvino” Zduńska Wola	4
Teatr Face To Face (F2F) „Manifest” Zduńska Wola	5
Teatr Face To Face (F2F) „Wierna Wataha” Zduńska Wola	6
Studio Tańca Współczesnego TENDI [poza konkursem] „Cudowna lampa Aladyna” Chorzów	7
Teatr Deel „Kobiety u grobu” Łódź	8
Teatr Bez Granic „Sylwia” Chłudowo	9
Grupa teatralna „Niczego nie ukulele! „My w teatrze” Częstochowa	11
Teatr Szklarnia „Kobiety sztuki” Łódź	12
Teatr Podleśna 55 „Wandzia” Zduńska Wola	14
Amatorski Teatr Osób Niebanalnych ATON „Ta cholerna (nad) wrażliwość” Lublin	16
Stowarzyszenie „Teatr Reduta Śląska” „Bleee...” Chorzów	17

Baśnie światłem i cieniem pisane

Teatr Fundamentum, powstały w 2006 roku jako "Pod Napięciem" w Zespole Szkół Elektronicznych w Zduńskiej Woli swą nazwę zawdzięcza łacińskiemu odpowiednikowi słowa piwnica. Po zobaczeniu spektaklu "Baśnie Italo Calvino" w reżyserii Zbyszka Rudeckiego, można zauważyć pewien trop w rozwiązaniach scenicznych, odnoszący się poniekąd do tego faktu. Frapująca gra światłem, ciekawy wybór pięciu baśni włoskiego pisarza z początku XX wieku i zręczne pomysły interpretacyjne - realizacja przedstawienia, choć z pewnymi niekonsekwencjami, zalicza się do bardziej przekonujących przedstawień teatrów niezawodowych, które miałam okazję zobaczyć.

Choć fałszywie brzmiące, śpiewane samogłoski wprowadzające w akcję, są dość zabawnym wprowadzeniem do narracji o Pastuchu. Już od pierwszego momentu zwraca uwagę dobór środków scenicznych - ograniczenie się do prostej kompozycji, gdzie tłem jest prześcieradło, rekwizytami kartony, a wspólny dla wszystkich nieśmiertelny czarny strój teatralny uświadamia widzom, że minimalizm jest na tak. Można by spokojnie zrezygnować też z innych rekwizytów, żeby jeszcze wnikliwiej wykorzystać potencjał ciała i prostoty scenografii - tworzenie postaci i wątków byłoby wówczas bardziej wymagające, a jednak bogatsze.

Światło, wyciągające protagonistów z cienia, w kilku scenach jest jednak nieadekwatne - osoby mówiące są oświetlone od pasa w dół - albo to aktorzy nieumiejętnie ustawiają się względem reflektorów. Pomijając to niedopatrzenie, imponujący jest fakt zbudowania przestrzeni baśniowych za pomocą teatru cieni. Za oświetloną płachtą zarówno skala postaci, wyrazistość gestu jak i całokształt sylwetki jest głównym sposobem komunikowania treści. W "Baśniach..." aktorzy świetnie realizują takie założenia.

Treściowo baśń pierwsza niesie pochwałę wytrwałości uczucia i sprawiedliwej nagrody, czekającej na ubogich i hojnych ludzi. Bardzo wyraziste są momenty, w których każda z postaci ma jakieś zadanie, nie odbierając jednocześnie uwagi od toczącej się narracji, np. w scenie opowieści o Pastuchu, na pierwszym planie między chłopakami rozgrywa się bitwa na papierki. W scenie wykorzystania organków, kiedy cały tłum jest pod władzą sprytnego młodzieńca, podoba mi się klarowność ruchu scenicznego i wykorzystanie współczesnego utworu, który królował na parkietach w czasach mojej podstawówki - mowa o "Explosion" Kalwiego i Remiego. Kolejnym popkulturowym nawiązaniem jest przerobiony utwór z netflixowego serialu "Wiedźmin", co w zasadzie łączy się z baśniowością przedstawienia.

Kolejne opowieści również stanowią świetną okazję do pogłębionej pracy z charakterem i fizycznością postaci. Mamy tu przedstawione różne stany i typy ludzkie; udającego Maszkarona Hrabiego, przebiegłego Massina, złą królową, szczęśliwego wieśniaka, wrózkę, kapryśnego władcę, staruszkę. Nie mogę oprzeć się jednak wrażeniu, że aktorom pracuje głównie górna część ciała, a zakorzenienie w ziemi i świadomość ruchu ciągle są terytorium, na którym pozostaje sporo do odkrycia.

Bardzo cenię jednak skrótowność przedstawienia, oparcie spektaklu na umownych rozwiązaniach, momenty wzmożonej energii scenicznej. Choć piwniczny w swojej skali, świat Italo Calvino, balansujący pomiędzy realizmem i fantastyką, ma szansę trafić do wielu odbiorców dzięki swojemu uniwersalnemu znaczeniu ponad kulturowemu. Jestem wdzięczna reżyserowi i grupie za kreatywne podejście i podjęcie się przekazania tych pięknych treści szerszej publiczności.

Julia Lewandowska



kliknij, by obejrzeć spektakl

Teatr Face To Face (F2F) - Manifest

Co takiego skrywają umysły i serca młodych ludzi i jaką część tego odważą się pokazać na scenie, gdy da im się swobodę twórczą?

Odpowiedzi na to pytanie można szukać w spektaklu „Manifest” Teatru Face To Face (F2F) ze Zduńskiej Woli. Reżyserka Justyna Rubajczyk we współpracy ze Zbyszkim Rudeckim postawiła przed młodymi adeptami sztuki aktorskiej zadanie – mieli przelać na papier to, co im w duszy gra. Młodzież została dzięki temu wciągnięta w proces tworzenia spektaklu, budując role w oparciu o własne wypowiedzi.

Transowa muzyka, symetria. „Manifest” rozpoczyna intrygująca, nieomal teledyskowa forma – dwójka bohaterów wyłania się z ciemności tylko dzięki światłu UV. Zamknięci w ograniczonej przestrzeni, badają otoczenie swobodnymi przepływami swoich ciał, lecz dopiero w kontakcie z pozostałymi osobami pojawiającymi się na scenie ich sytuacja zaczyna się zmieniać. Dłonie w rękawiczkach, przywodzące na myśl zarówno nocne kluby, jak i rybki w oceanie zaczynają animować bezwładne lalki, manekiny, oswobadzając ich z nadanych ról.

Poznajemy ich – chłopaka i dziewczynę, tańczących wokół siebie w kręgach. Odkrywają ogień, pierwotne ciepło. Niczym ćmy zlatują się wokół drobnego ognika. Nastaje ciemność.

Plastyczne sceny i tajemniczy klimat przerywa cisza i tutaj, niestety, pierwszy zgrzyt. Para płacze się w nadmiarze rekwizytów i musi budować napięcie niemalże od nowa. Aktorzy postawieni w sytuacji wskazującej na dużą swobodę, wręcz intymność, jednocześnie są sobie jakby obcy. Ich relacja wydaje się przez to nienaturalna, ale po kilku zdaniach odzyskują rezon i większą autentyczność.

Gdy na scenę wbiega nagle grupa roześmianych ludzi w ludowych strojach, dramat psychologiczny zamienia się w komedię. Zwierzenia dwójki na przedzie przeplatają się z zabawą weselną w tle. Sceny przecinają się gwałtownymi zatrzymaniami i tutaj wychodzi na jaw każdy najdrobniejszy gest. Trzeba oddać młodym sprawiedliwość, że spotkali się na nowo po długiej pandemicznej przerwie, więc wszelkie nierówności są do wyczyszczenia.

Kontrast między chłopakiem i dziewczyną a pozostałymi aktorami staje się najbardziej wyrazisty, gdy biesiadnicy zaczynają intonować przyspiewkę weselną. Absurd tego momentu podkreśla bezwstydną tekst piosenki i moc, z jaką jest ona zaśpiewana. Umarłam ze śmiechu.

Tymczasem rollercoaster jedzie dalej, bo aktorzy przełamują czwartą ścianę, żeby za moment wrócić do swojego świata, obnażyć swoje zawstydzenie i okazać prawdziwe emocje. Panna młoda zrzuca gorset, przegania wszystkich obecnych i zwierza się w samotności, żeby sama sobie przerwać i zacząć się bawić. Rozmowy o jedzeniu stają się przyczynkiem do wyrażenia uczuć, a to wszystko okraszone dalekowschodnią mantrą.

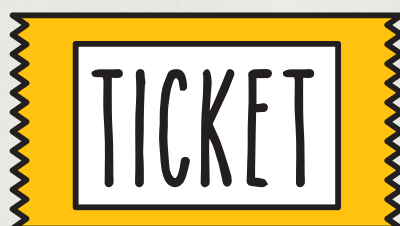
Mimo krótkiej formy dzieła, pojawiają się odwołania do kultury tradycyjnej i współczesnej, błyskotliwe przejścia między poważnymi tematami, a błahymi rozmowami, próby zbliżenia się bohaterów i całkiem wdzięczne metafory.

Grupa teatralna Face To Face zaskakuje świeżą energią i szczerością, dzieląc się z widzami nie tylko swoimi przemyśleniami, ale również lękami, wątpliwościami i nadziejami. Ogromne brawa należą się za zwinne żonglowanie poważną i komiczną stroną „Manifestu” oraz za dobór muzyki.

Aż żal, że tak krótko! Chciałoby się poznać, co do powiedzenia ma pozostała część obsady, a jednocześnie... w sam raz. Aktorzy zabrali mnie na dwadzieścia-parę minut do swojego świata za co bardzo im dziękuję i kibicuję na dalszej drodze artystycznej.

Alicja Tranda

Ocena 4, 5/5



kliknij, by obejrzeć spektakl

Teatr Face to Face – „Wierna wataha”

„13 córka”

Mateusz Konieczny reprezentował teatr Face to Face w monodramie „Wierna wataha”. Przedstawienie ukazuje ścisłą wierność dla religii. Napisane i opowiedziane w kulturze dawnych Słowian, pozostające w sferach świata doczesnego.

Mateusz w monodramie wciela się w różne role. Świetnie wykorzystując przy tym minimalizm scenografii - dwie chusty w kolorach białym i czerwonym oraz krzesło. Dzięki tym trzem rekwizytom był w stanie sprostać opowiedzenia niełatwej historii. Historii, która, mimo osadzenia w czasach dawnych Słowian, dotyczyć mogła i czasów współczesnych. Ich trudności oraz bólów. Tego jakie skutki mają nie nasze wybory i czy czasami przypadkiem nie zapominamy kim jesteśmy.

Trud historii przekładał się miejscami na trud odgrywania ról przez aktora. Od samego początku spektaklu, kiedy to Matusza wciela się rolę narratora w celu wprowadzenia nas do świata fabuły, widać bardziej zagrywki reżyserskie, aniżeli wychodzące emocje z postaci. Przez to na wstępie nie została mi sprzedana historia. Fajnie, jakby trochę w całym tym trudnym temacie, znaleźć coś, co trochę złamie ten standard i temat. Mateusz przez cały spektakl jest taki, jak historia, którą opowiada. Dlatego miejscami gubiłem się kim jest w danym momencie. Czy narratorem, matką, córką, czy też ojcem. Musiałem wyłapywać z to kontekstu wypowiedzi, co przeszkadzało w odbiorze.

Przed niełatwym zadaniem i tekstem został postawiony Mateusz. I tak uważam, że pomimo tego dramatu, który cały czas w nim siedział i nie odpuszczał nawet na chwilę, to i tak poradził sobie rewelacyjnie. Może, w raz z reżyserem, powinni popробować opowiedzieć tę historię na kilka sposobów. Podczas próby. Po prostu pobawić się tekstem. A myślę, że nie raz się zaskoczą, jak fajne rzeczy mogą z tego wyjść i sprawią, że trud historii może zostać przedstawiony, w mniej trudny sposób.

Jakub Lisiak

Ocena: 3,5/5



kliknij, by obejrzeć spektakl

A Ty, jakie masz życzenie?

Św. Mikołaj wchodzi na scenę Centrum Kultury w Chorzowie, błogosławi wszystkich oglądających, tłumaczy iż dziś jest dzień jego imienin, a on już tak ma, że to on wtedy rozdaje prezenty. Niestety pandemia pokrzyżowała jego plany i nie może z dziećmi zobaczyć się na żywo, z tego powodu kontaktuje się przez nagranie. Nie chce zburzyć świata wyobraźni dzieciaków swoją absencją. Pozdrawia nas wszystkich, składa życzenia, jest miły, spokojny i pogodny.

Aktorstwo Pana, który wciela się w rolę św. Mikołaja jest na wysokim poziomie, jest wiarygodny, wzbudza zaufanie, do tego jego spokojny i niski głos aż tworzy atmosferę świąt. Zacząłem się zastanawiać co w tym roku pragnąłbym dostać: może nowe głośniki, albo jakąś książkę, ewentualnie nowa czapkę i szalik, a może zestaw Lego. Jednak jedyne co Mikołaj mógł mi zaproponować 10-go października 2021 roku to spektakl „Cudowna Lampa Alladyna” w wykonaniu Studia Tańca Współczesnego TENDI oraz zespołu Happy.

Twórcy w swojej najnowszej produkcji z 2019 roku zdecydowali się na opowiedzenie tej historii jedynie poprzez ruch, zadanie mogłoby się wydać trudne, ale na pewno nie przerosło artystów. Cała konstrukcja spektaklu przypomina mi tę, która jest wykorzystywana w wielu filmach animowanych Disneya - ciąg zdarzeń przerywany jest scenami wspólnego tańca czy śpiewu. Sekwencje zbiorowe są świetne; jeżeli chodzi o dobór ruchu, nawiązują do tańców Bliskiego Wschodu, bądź kina bollywoodzkiego, ale są także „zbiorówki w formie tańca współczesnego, a także nowoczesnego.

Warto zwrócić uwagę na świadomość ciała tancerzy, którzy nie tylko w grupowych sekwencjach tanecznych, ale w prostych działaniach, jakim jest choćby przepychanie się przekupek do straganu. W tej na pozór prostej akcji, w której łatwo o fałsz, ciała tancerek naprawdę naturalnie i wyraziście reagują, na skutek rywalizacji o lepsze miejsce w kolejce.

W spektaklu dominuje taniec współczesny z elementami klasyki i jazzu.

Wyczuwalny jest potencjał tancerzy, jednak zasób ich ruchów, przeskoków i przejść zdaje się być dość ograniczony. Odniosłem wrażenie, że u głównego bohatera charakterystyczny motyw przejścia przez rękę jest powtarzany w co drugiej scenie. O ile wyczuwalne były zmiany stylów tańca, to jednak mało zmieniało się w dynamice, czy w jakości ruchowej. Dlatego od połowy spektaklu sceny taneczne zdają się nieco nużące i za długie. Kolejny problem wynika ze sztampowości wykorzystanych gestów, emocjonalnego „pokazywactwa” w tańcu, co świadczy dla mnie o przejrzałej formule widowiska.

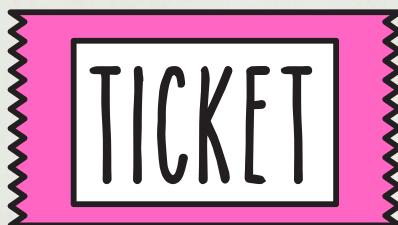
Bez wątplenia wrażenie robi przestrzeń, w jakiej odbywa się spektakl. Zdaje się ona być ogromna. Do tego zmieniająca się scenografia jak przykładowo zjeżdżający stół, wykorzystujący maszynierię teatralną, potęguje to uczucie. Podkreśla to bajkowość przedstawienia i ważną rolę, jaką odgrywa magia tego świata.

Wyjątkowy efekt następuje w momencie przywołania Dżina, który pojawia się jako ogromny cień w kłębach dymu i akompaniamencie najróżniejszych świateł. Dżin jest majestatyczny, magiczny, nieosiągalny i tworzy plastyczną iluzję, która mnie zachwyciła.

Atmosferę całości dopełniają światła, których momentami wydaje się zbyt dużo, jakby włączyło się wszystko co tylko się da.

Wszystkie te elementy składają się na całość, która choć monumentalna, interesująca, magiczna to trochę kiczowata i przestarzała.

Kamil Bończyk



kliknij, by obejrzeć spektakl

Kobiety i mikrofony

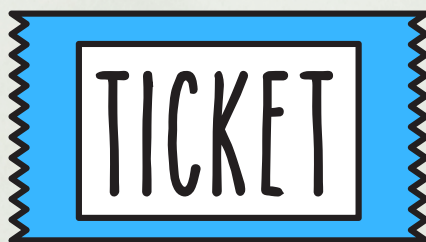
Spektakl "Kobiety u grobu" w wykonaniu Teatru Deel, to dość kontrowersyjne doświadczenie. Z jednej strony ambitny tekst, z drugiej strony po macoszemu potraktowane nagranie. Tegoroczna ŁÓPTA - niestety - odbyła się online. Format ten, z jednej strony, pozwala na to, by na nagraniu znalazła się najlepsza wersja spektaklu, a z drugiej strony zabiera to co w teatrze, w moim odczuciu, najlepsze - tymczasowość i eteryczność obserwowanych zdarzeń.

Mam ogromny problem z tym, by ocenić to co zobaczyłam, bo usterki techniczne skutecznie odwracały moją uwagę od tego, co dzieje się na scenie, a nieposkromione decybele nie pozwalały na jakąkolwiek immersję. Staram się z wyrozumiałością podchodzić do wszystkich nagrań spektakli, które oglądam, już drugi rok, na monitorze swojego komputera (bo nie każdy ma w posiadaniu odpowiedni sprzęt i umiejętności jego obsługi). Niemniej uważam jednocześnie, że po stronie twórców leży, dostarczenie materiału, który pozwala zapoznać się z ich pracą bez zakłóceń. Bo te zakłócenia, to jest *clue* TEJ sprawy! A nie powinny... Nie powinny choćby dlatego, że tekst podejmuje ciekawe tematy.

Tytułowe kobiety, spotykają się pod tym samym dachem w poszukiwaniu schronienia. Podniosłe wspominają śmierć Jezusa, jednocześnie wagę tego doświadczenia, zabijając swoim kłótniami, przekomarzaniem i oskarżeniami, ukazując tym samym jak powierzchowna i ułudna jest ich religijność i tolerancja.

Nie mam zwyczaju pisać o grze aktorskiej, lub dawać wskazówki reżyserskie, bo brak mi i wiedzy i doświadczenia, a przede wszystkim umiejętności. Natomiast mogę opowiedzieć o swoich wrażeniach. A wrażenie odniosłam takie, że spektakl wymaga jeszcze szlif. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że aktorzy mieli pomysły na swoich bohaterów, jednak nie na tyle rozbudowane, by utrzymać uwagę widza. Przez to wypowiedziane kwestie nie wybrzmiewały z taką mocą, z jaką mogłyby wybrzmiewać. Każda z postaci miała swoją manierę wypowiadania kwestii - co mi się podobało, ale z drugiej strony, było mi mało. Chciałoby się zobaczyć - zwłaszcza gdy kostiumy są bardzo zbliżone, większe rozróżnienie, poza mową również w ruchu i całym byciu na scenie. Miejscami było zbyt wiele krzyku, miejscami za mało głosu i ogólne wrażenie małego chaosu - i może wszystko to nie raziłoby tak bardzo, gdybym spektakl widziała na żywo, bo te przekłute mikrofony może nie zabiły, ale znacząco obył efekt Waszej pracy. Także czekam na cynk gdzie i kiedy można Was obejrzeć w sposób analogowy.

Pola Lepakhina
Ocena 3,5/5



kliknij, by obejrzeć spektakl

Za nowe początki!

Te słowa być może przeszły głównemu bohaterowi przez myśl, gdy jego stopa przekroczyła próg świeżo zakupionej willi o wdzięcznym imieniu Sylwia. Równie szybko nasz bohater mógłby przekląć siebie za to, że kiedykolwiek coś takiego pomyślał - ilość nowych początków łatwo może przytłoczyć, gdy pragnie się prostoty.

Główny bohater, Joachim Wilan (Jacek Kaczmarek) wydaje się być spokojnym mężczyzną, który wie czego chce i równie dobrze wie, czego nie chce. Zapragnął willi? Willę sobie sprawił. Wymaga określonego poziomu życia? Wynajmuje fachowca, mistrza Olecha (Piotr Kmieciak), który doprowadza willę do porządku. Jednak każde spełnione życzenie zdaje się nieść ze sobą pewien bagaż; zakupiona willa nosi żeńskie imię Sylwia, wspomniany mistrz Olech prócz bycia dobrym fachowcem, jest również swatem, a samotny mężczyzna może również być... ale nie wyprzedzajmy faktów.

Willi, która dotychczas była pustą skorupą z imieniem, powoli wypełnia się życiem. Samotny Joachim z oddaniem poświęca się grze na gitarze, aż do momentu, gdy odwiedza go gość kolejny, i kolejny, i kolejny, aż bohater nie wytrzymuje. W tym domu straszy! - wykrzykuje, gdy ilość wydarzeń go przytłacza. Straszy natręctwem drugiego człowieka. Straszy przekonaniem, że mężczyzna zawsze potrzebuje kobiety, a kobieta mężczyzny. Że jakiś bagaż zawsze musi być obecny. W końcu wszyscy goście Wilana wiedzą lepiej, czego mu potrzeba.

Ale wróćmy do tych początków. Sztukę rozpoczyna konkretne wejście Joachima do nowej willi, chwycenie gitary elektrycznej i melodyjny riff, który od tego momentu wplata się w czas pomiędzy scenami. Działanie to ogromnie wzbogaca przedstawienie; trudno nie docenić zabiegu, gdzie główny bohater praktycznie nie oddziela się od swojej gitary, a kolejne zdarzenia okrasza nie tylko grą aktorską, ale również grą na gitarze. Zwłaszcza, gdy jest to wykonane niezwykle naturalnie.

Następnie spotykamy Sewera (Michał Balcerek), którego rola zdaje się polegać na przeprowadzaniu bohatera przez kolejne etapy zdomowiania się w nowej przestrzeni. To właśnie Sewer swoim gromkim głosem wita nowego sąsiada; to również on zaznajamia go z mistrzem Olechem, który uznał sobie za punkt honoru zadbać o przestrzeń wewnętrzną i wewnętrzniejszą Joachima poprzez remont willi i proponowany remont serca - przecież ten dom wymaga kobiecej dłoni!

Gdy remont zostaje ukończony, Wilan zostaje zaskoczony przez kolejnych gości: trzy kobiety (Magdalena Piosik, Joanna Napierała i Ilona Gralak), które łączą dwie kwestie - zbieżność imienia i cel dla nich najbliższy, małżeństwo z nowym sąsiadem. Rozgrywa się coś, co przypomina grę o terytorium tak charakterystyczną dla świata zwierząt i ludzi. Każda kolejna kobieta próbuje zostawić jak najwięcej śladów po sobie; ich dłonie delikatnie zaczepiają naszego bohatera, ich szykowne fragmenty odzienia pozostają specjalnie ustawione przez nie na widoku, być może aby odstraszyć ewentualne rywalki... a może rywali?

Joachim, któremu nigdy nie zależało na małżeństwie i czuje się dobrze w roli kawalera, w desperacji poszukuje pomocy i znajduje ją w osobie Sewera, który wpada na niebywały pomysł.

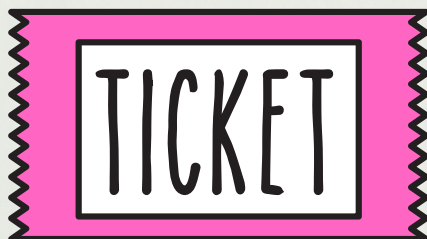
Sylwia, autorstwa Henryka Bardijewskiego, jest lekkim, przyjemnym spektaklem, który niejednokrotnie rozbawia. Role, których podejmują się aktorzy, wydają się na nich uszyte i nie sposób nie docenić tego, co każda postać wprowadza na scenę. Jacek Kaczmarek dzielnie utrzymuje na swoich barkach całość spektaklu, Michał Balcerek sprawia wrażenie jakby żywcem wyciągnięty z kultowych polskich komedii, a tak ogromnej energii na scenie, którą wprowadza Ilona Gralak to dawno nie widziano.

Bagaż także znajduje swoje miejsce w tej recenzji. Pomimo komediowego charakteru sztuki, ilość wykonywanych przez aktorów gestów w pewnych momentach wydawała się nieuzasadniona. Postać głównego bohatera zdaje się nieokreślona i brak jej wypełnienia; nawet jeśli miałby to być zabieg zamierzony, to brakuje tutaj wyrazistości. Scenografia jest minimalistyczna... może nazbyt minimalistyczna, zwłaszcza przy tak awangardowych rekwizytach, za pomocą których prezentowały się Sylwie.

Pomimo drobnych uwag, spektakl jest godną polecenia komedią, a na dorosłą grupę aktorów patrzy się z przyjemnością.

Tomasz Hołubowicz

Ocena: 4/5



[kliknij, by obejrzeć spektakl](#)

„The best of”

Spektakl „My w tearze” grupy teatralnej „Niczego nie ukulele” opowiada historię gromady zwiedzających, którzy zagubili się podczas wycieczki i trafili na stoisko pełen kostiumów. Gdy tylko założyli na siebie dany strój, to przenosili się w czasie i trafiali do słynnych scen ze znanych opowiadań czy spektakli.

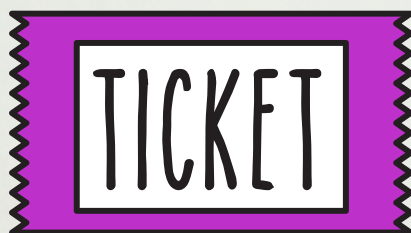
Muszę przyznać, że spektakl mnie oczarował. Grupa teatralna „Niczego nie ukulele” zrobiła coś, co w teatrze kocham najbardziej. Bawili się na scenie. I widać było to od początku do końca. Każda sekwencja, każda scena którą odgrywali, było zrobiona i grana z miłości do teatru.

Ja sam, jako widz, czułem się trochę jak w programie „Jaka to melodia?”. Tylko, że w tym przypadku byłby to teleturniej „Jaki to jest spektakl?”. Czasami wystarczyły dwa zdania, żebym odgadł, że aktorzy przedstawiają scenę z „Romea i Julii” Shakespeare’a, a niekiedy nie potrzebowałem żadnych słów, bo po ubiorze można byłoby się domyślić, że zaraz będziemy świadkami sceny z „Ożenku” Gogoli.

Dokonali też niełatwego zadania, bo z 14 osób, które były na scenie, każda miała swoje, tak zwane, „5 minut”. Każdy z aktorów dostał szansę, żeby się wykazać i uważam, że wszyscy świetnie odnaleźli się w swoich rolach. Jedyna rzecz, do której mógłbym się przyczepić, to wielokrotny brak synchronizacji. Niekiedy aktorzy kończyli układ taneczny, a muzyka wciąż grała i widać było, że czekają na jej zakończenie, by kontynuować spektakl. Więc albo coś nie zagrało i w emocjach aktorzy się pospieszyli, albo warto popracować nad dłużnymi układami, bądź skróceniem muzyki. Usprawni to znacznie tempo i odbiór sztuki.

Żałowałem jedynie, że oglądałem to przedstawienie u siebie na laptopie z wideorejestracji. Chciałbym tam być na miejscu i poczuć ich energię, poczuć tę radość z opowiadanych historii i całą miłość do tworzenia teatru.

Jakub Lisik
Ocena: 3,5/5



kliknij, by obejrzeć spektakl

Teatr Szklarnia, powstały w Łodzi na początku tego roku, w celach swoich działań wymienia współpracę międzypokoleniową, a tym samym walkę z wykluczeniem osób starszych. Takie są też ich „Kobiety sztuki”, których bohaterkami są kobiety z dwóch pokoleń: do 25 go oraz od 70 go do 86 go roku życia.

Szklarnia raczy nas impresją na temat życiorysów trzech artystek: Violetty Villas, Agnieszki Osieckiej i Marii Czubaszek. Każdą bohaterkę widzimy w dwóch wersjach: młodej oraz starej (Teatr Szklarnia słusznie nie boi się używania tego słowa). Pary są podobnie ubrane (plus za pomysł na kostiumy), zawsze złęczone w przestrzeni, wpatrzzone w siebie z czułością. Każdy duet ma własne, dedykowane tło, siedziska pasujące do postaci, a na koniec piękny portret danej artystki-bohaterki.

Pomysł na spektakl jest świetny i wpisujący się w normy, nie dziwię się więc, że zyskał rekomendację do stypendium Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Założycielka Teatru Szklarnia oraz reżyserka, Natalia Perek, mierzy z nas z tematem starości, przemijania. „Okres przydatności” człowieka jest tak samo ograniczony, bez względu na to, czy jest tzw. szarym człowiekiem, czy znaną artystką. W „Kobietach Sztuki” Villas, Osiecka i Czubaszek to trzy nieszczęśliwe, wybitne kobiety, które mierzą się z własną starością. Czubaszek mówi: „urodziłam się i muszę jakoś przeżyć do chwili, kiedy to się skończy”. Ukłony dla autorek za pokazanie, że smutek czy śmierć czyha na każdego, niezależnie od sławy i osiągnięć.

Naturalną konsekwencją spektaklu jest przybliżenie twórczości naszych bohaterek. Zostały nam przypomniane cytaty, wiersze, piosenki. Słowa autorstwa tych trzech artystek na pewno zostaną w widzach na długo, co stanowi zdecydowaną wartość dodaną. Kobiety Sztuki zazębiają się na różnorakie sposoby, reżyserka znalazła wiele punktów styecznych. I tak na przykład zostajemy zapoznane z treścią listów wymienianych między Kobietami a ich mężczyznami; recytacja „Kiedyś byłam lalką” Osieckiej przeplata się z piosenką „Mechaniczna lalka” Villas, do której tekst napisała - specjalnie dla wokalistki - sama Agnieszka Osiecka. Zabieg znajdowania elementów łączących pozornie odległe postaci, klamer kompozycyjnych, jest czymś, co zawsze fantastycznie się sprawdza w teatrze, a widzowi sprawia rozkosz. Tutaj też się to udało.

Zabrakło jednak pomysłu na inne piosenki, te wykonywane zespołowo. Zwłaszcza w drugim utworze poziom dezorientacji, braku rytmu, choreografii i koordynacji pośród aktorek okazał się bolesny do oglądania.

Na wyróżnienie aktorskie zasługuje pani Wiesława Hilczer, która starszą wersję Violetty Villas oddała wręcz wzorcowo. Miałam wrażenie, że Villas, którą oglądałam w filmie dokumentalnym, pojawiła się ponownie na ekranie. Nie ma co ukrywać, Villas była postacią niezwykle specyficzną, kontrowersyjną w sposobie bycia i mówienia. Albo pani Hilczer odrobiła pracę domową i zrobiła kawał postaci, albo mamy w Polsce drugą, naturalną Violetkę Villas! Niestety, nie widzę połączenia między starszą Villas a młodszą (Anna Topolska). I choć ta druga zagrała poprawnie, to zabrakło pomysłu na rolę. Z ciekawością obejrzałabym realną, aktorską propozycję „jak zachowywała się Villas, gdy była młoda”. Trudno jest mi ocenić starszą Czubaszek (Grażyna Kołtonik), aktorkę tak stremowaną, że budziła we mnie instruktorskie serce i empatię. Interpretacji aktorskiej zabrakło też u Zofii Hasiuk (starsza Osiecka), u której słychać było głównie recytację tekstu, bez jego głębi emocjonalnej. Ich sceniczne odpowiedniki, Daria Kownacka (młodsza Czubaszek) i Sofia Rewkowicz (młodsza Osiecka), zagrały poprawnie, lecz bez bigla, charyzmy, której można byłoby się spodziewać po takich bohaterkach. Myślę jednak, że te wszystkie aktorskie niedociągnięcia da się dopracować, Szklarnia jest przecież komórką bardzo młodą teatralnie (choć roslą wiekiem).

„Kobiety Sztuki” bronią się głównie pomysłem i kreacją pani Hilczer. Myślę, że po gruntownej pracy aktorskiej, odszukaniu głębi ról oraz pracy nad piosenkami, mamy tutaj szansę na kawałek dobrego, wartościowego teatru.

Na koniec utulmy swoje młodsze i starsze wcielenia. Za starszą Osiecką, zawołajmy do swoich wewnętrznych dzieci: „Zostań!”.

Ocena 3/5,
Anita Tomczak

„Im bardziej ciebie zapominam”, Agnieszka Osiecka

Im bardziej ciebie zapominam,
tym bardziej twarz ta mnie przeraża,
co z lustra patrzy na mnie co dzień
jak smutny sędzia na zbrodniarza.
Zostań ze mną,
żebym była lepsza,
zostań ze mną,
zostań dla mnie samej,
wyrzeźbiłam cię w powietrzu,
oprawiłam w złotą ramę -
czas nie zatarł naszych śladów jeszcze...

[...]

Zostań ze mną,
w mej pamięci podłej,
zostań ze mną,
żebym była ładna,
zostań, bym w kawiarni modnej
nie przelękła się zwierciadła -
zapominać to nie sztuka żadne.

Zostań ze mną w mojej duszy chorej,
zostań ze mną, żebyś był młoda,
bym wzdychała w każdy wtorek:
"Szkoda, szkoda, szkoda, szkoda".

Im bardziej jestem roztargniona,
Kiedy twoje imię słyszę z boku,
Tym bardziej mi wstyd, że nie płaczę,
Tak jak płakałam w zeszłym roku.

Zostań ze mną,
zostań choć na niby,
w moich gestach,
w tym jak głowę noszę,
zostań ze mną, nawet gdybym
zapomniała o co proszę.



kliknij, by obejrzeć spektakl

„Wandzia” .Teatr Podleśna 55. Czyli jak do małej ,czarnej torebki zapakować 476 stron książki Anny Kamińskiej „Wanda: opowieść o sile życia i śmierci: historia Wandy Rutkiewicz.”

Wyobrażam to sobie tak:

do instruktorki teatralnej w Teatrze Podleśna 55 przychodzi licealistka z prośbą o przygotowanie do konkursu recytatorskiego. Ponieważ instruktorka bardzo lubi góry ,a ostatnio przeczytana książka ,która zrobiła na niej wrażenie to historia życia jednej z najwybitniejszych na świecie himalaistek - Wandy Rutkiewicz ,postanawia na „warsztat” recytatorski wziąć fragment z tej książki i pomóc w przygotowaniach licealistce. Wszystko idzie ładnie ,może i udało się otrzymać jakąś nagrodę w konkursie recytatorskim ,więc kujmy żelazo póki gorące, a zrobmy z tego spektakl! by było ciekawiej i trudniej niech to będzie : monodram.

Było tak:

Teatr Podleśna 55 to teatr z 18-letnim doświadczeniem scenicznym. Instruktorka teatralna oraz reżyserka - Edyta Kulda postanawia stworzyć wraz ze swoją młodziutką aktorką –Oliwią Filipczak monodram, mówiący o życiu i śmierci Wandy Rutkiewicz w oparciu o książkę napisaną przez Annę Kamińską „Wanda: opowieść o sile życia i śmierci: historia Wandy Rutkiewicz”.

Jest tak:

Powstał monodram Teatru Podleśna 55 pt.: „Wandzia”, który został zgłoszony na festiwal teatralny. W formularzu zgłoszeniowym napisano: (...) obecnie zespół jest już na takim poziomie świadomości sceny i konstrukcji postaci ,że osoba instruktora pełni rolę obserwatora ,wspierającego aktorów w kreowaniu teatralnej rzeczywistości”
Spektakl „Wandzia”:

Na scenie widzimy czarne klocki, sześciany, czarne teatralne zastawki, wieszak na ubrania, jakieś przedmioty leżące na podłodze. Wchodzi na scenę aktorka? może rekwizytorka?, która wesoło sobie podśpiewuje trzymając w rękach kule ortopedyczne i stawia je przy wieszaku na ubrania, następnie zakłada fartuszek kuchenny i zaczyna wycierać szmatką papierowe talerze. Słyszac coś w oddali zostawia wszystko , zakłada bezrękawnik na siebie i na chwilę wychodzi by za moment odczytać list. Nie wiedzieć czemu czyta go na głos, nikogo nie ma koło niej więc spokojnie może odczytać go w myślach. Po chwili zaczyna nerwowo pokrzykiwać coś do adresata listu . W międzyczasie pojawia się czarna ,mała torebka, w której aktorka? Czy rekwizytorka? Trzyma różne rzeczy, zwłaszcza takie ,które rzadko się znajdują w małych ,wizytowych torebkach: duża koperta, znaczek na list, kartki pocztowe i chyba pilniczek do paznokci choć ten akurat byłby zrozumiały.

Zmierzam do tego, że takiego brudu scenicznego, chaosu, miotania się po scenie i bezsensownego pokrzykiwania, dawno w teatrze nie widziałam. Gdyby nie informacje podane na temat spektaklu to nie wiedziałabym ,że opowiada historię 49- letniej himalaistki –Wandy Rutkiewicz.

Scenografia,to czysta przypadkowość, co znajdowało się za kulisami to wylądowało na scenie.

Potrzebna jest dyscyplina w obrazie, nie może być żadnej niepotrzebnej rzeczy, rekwizytu, wszystko ma znaczenie na scenie, najmniejszy drobiazg. Spokojnie można było zostawić jeden czarny sześcian i śmiało ograć go tak, by stał się stołem, krzesłem, czy Mount Everestem. Psychologia postaci była żadna. Niczego się nie dowiedziałam o Wandzie Rutkiewicz.

Z 476 stron książki powstała przypadkowa kompilacja tysiąca wątków. Wystarczyło wybrać jedno wydarzenie z życia tej barwnej i nietuzinkowej kobiety i na nim się skupić. Zachować czystą formę na scenie ,w scenografii, budowaniu emocji ,by ukazać siłę, piękno i dramat Wandy Rutkiewicz.

Niestety, na scenie zobaczyłam jedynie młodą dziewczynę ,która nauczyla się kilku stron tekstu na pamięć i w miarę poprawnie go wyrecytowała, a w niektórych momentach i wykrzyczała.

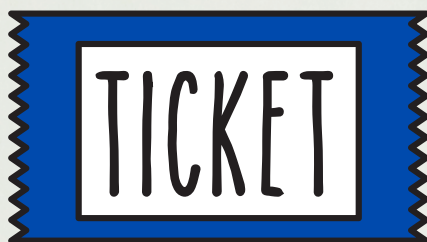
I czarną torebkę..... która dość osobliwie stała się atrybutem himalaistki.

Zatem wracam do opisu , który teatr zamieścił w formularzu zgłoszeniowym : (...) obecnie zespół jest już na takim poziomie świadomości sceny i konstrukcji postaci ,że osoba instruktora pełni rolę obserwatora ,wspierającego aktorów w kreowaniu teatralnej rzeczywistości”

Czy na pewno?

Agnieszka Kowalczyk

Ocena: 2/5



kliknij, by obejrzeć spektakl

Babę zesłał Bóg czyli „Ta cholerna (nad)wrażliwość” TEATR ATON

Mogło być bardzo pięknie, a wyszło tylko pięknie.

Spektakl Teatru Aton pt.: „Ta cholerna(nad)wrażliwość” ,mówi o bólczkach, radościach, rozczarowaniach, emocjach, błędach , smutku, miłości, ale przede wszystkim o pięknej przyjaźni dwóch kobiet. Tekst oparty jest na twórczości Renaty Przemyk.

Plusy:

Na pewno za to, że jest to autorski spektakl.

Wszystkie aktorki występujące w spektaklu: Agata Supranowicz, Agnieszka Kosińska, Katarzyna Szczechowska i Katarzyna Szczepaniak, która jest jednocześnie reżyserką spektaklu i instruktorką teatralną stworzyły ciepłą, kameralną i dowcipną opowieść o kobietach.

Na szczególną uwagę zasługują głosy śpiewających pań : Katarzyny Szczepaniak i Katarzyny Szczechowskiej.

Warto zwrócić uwagę na scenografię , która była oszczędna , prosta ,nie narzucająca się.

Minusy:

Moim zdaniem ,zupełnie niepotrzebnie zostały wprowadzone na scenę cztery aktorki, by opowiedzieć o przyjaźni dwóch pań. Stworzyło to niepotrzebne zamieszanie. Zakładanie szali, przesiadanie się z miejsca na miejsce, rozbiło intymną i osobistą wypowiedź przyjaciółek, by tego było mało, w którymś momencie jedna z nich odegrała postać mężczyzny, co było absurdalne i zakrawało na tani chwyt komediowy.

Myślę, że w prostocie tkwi siła, za dużo grzybów w barszczu może stać się niestrawne.

Zabrakło mi zdecydowania co do konwencji spektaklu. Gdyby tak zrobić musical pełną gębą, z muzyką na żywo? Na scenie?

Bardzo mi przeszkadzało to niezdecydowanie i niepewność. Raz ktoś podgrywał aktorkom zza kamery, raz śpiewały a capella. Niepotrzebny bałagan się zrobił.

Zwróciłabym też uwagę na to by „nie wychodzić „z roli podczas spektaklu, żadnych prywatnych gestów. Nie może aktor ze sceny dawać technicznych sygnałów ,gestów komuś spoza niej. Był moment ,gdy aktorka miała zacząć śpiewać ale ktoś kto grał na instrumencie coś pomylił, czy zbyt głośno zagrał ,czy to może był podkład muzyczny ,to sprawiło , że aktorka wybiła się z roli i zachowała prywatnie.

Podsumowując:

Pomimo drobnych nieczystości teatralnych i niektórych chybionych rozwiązań scenicznych spektakl się obronił. Widać było ,że paniom sprawia radość granie, przebywanie ze sobą, rozmawiać, że dobrze się rozumieją i na scenie jak i poza nią.

Bardzo przypadł mi też do gustu pomysł ubarwienia spektaklu twórczością Renaty Przemyk i że mówi on o kobietach . Dlatego chciałabym zachęcić Panie ,by nie bały się i wykorzystały szerzej swój talent muzyczny.

Z przyjemnością obejrzałabym musical w wykonaniu Teatru ATON.

Agnieszka Kowalczyk

Ocena: 4,5/5



kliknij, by obejrzeć spektakl

„Bleee...” czyli nie podcinajcie innym skrzydeł

Teatr Reduta Śląska z Chorzowa zabrał nas w piękny i tajemniczy świat dramatu Maliny Prześlugi pod przewrotnym tytułem „Bleee...”. Jest to sztuka poruszająca niezwykle ważne tematy. Odrzucenie, inność, wyjątkowość, wiara w siebie, poczucie piękna mimo ostracyzmu, a także wartości kryjące się wewnątrz istoty ludzkiej.

Mamy tu świat owadów, który niezwykle trafnie obrazuje przywary ludzkie. Czy teatr z Chorzowa zdołał wydobyć głębię tej pięknej historii? Uważam, że tak. Zespół aktorski składający się z osób w różnym wieku współpracuje ze sobą bardzo sprawnie. Cieszy niezmiennie fakt, że wiele pracy zostało włożone w to, by wykonać to niełatwe zadanie, jakim jest tak duża inscenizacja. Wielka scena wymaga skupienia uwagi na najmniejszych szczegółach. Scenografia stworzona przez Kaję Renkas robi naprawdę duże wrażenie. Zwiewne materiały, maski, projekcje, światła, dużo grzybów w tym barszczu, a jednak łączy się to wszystko w sensowną całość.

Jeśli chodzi o podejście do postaci, szczególnie wzruszające są: wózek Pajęczycy Wiktorii (a także jej sztucznie zniekształcony głos), Karaluchy (Antonio i Banderas), różniący się wiekiem, mimo że to bliźniacy, niekoniecznie wyidealizowana przemiana Darii. Sami aktorzy poradzili sobie znakomicie, wydobywając humor z istic dramatycznie napisanych ról. Cieszy energia, charyzma i miłość do teatru, bez względu na wiek. Dla takich ludzi nie ma ograniczeń. Chcą nieść piękno, czynić dobro. I to w tym wszystkim jest najważniejsze. Spektakl skrzy humorem i ciekawie rozegranym niuansami. Aktorzy dobrze pracują głosem i dbają o dobrą dykcję. Są też piosenki, czyniące przedstawienie jeszcze bardziej interesującym. Cytowanie utworów znanych szerszej publiczności, okazuje się świetnym sposobem na porwanie publiki. Na szczególną uwagę zasługuje utwór śpiewany przez Pazią Królowej, przywołujący elektronikę lat osiemdziesiątych i nieśmiertelny hit Bajmu „Co mi Panie dasz”.

Kilka mankamentów. Warto popracować by taniec oraz śpiew zespołowy były bardziej synchroniczne. Przemiana Darii jest zbyt mało oświetlona, właściwie dzieje się w ciemności, do tego ta scena jest za blisko sceny przemiany Poli. Przez to obie tracą i są mniej spektakularne. Saksofon to nie trąbka (chyba, że to jakiś bardzo zawoalowany żart).

Spektakl jest przyjemny, ale niełatwy, porusza bardzo ważne kwestie, i dlatego warto go obejrzeć. „Každy ma talent.” i „Całe życie się toczę, ale to życie jest urocze.” To piękne przesłanie warto zachować w sercu i uśmiechnąć się do wspaniałych osób z Chorzowa, które dają nam część siebie.

5/5

Dariusz Zakrzewski



kliknij, by obejrzeć spektakl

ŁÓP 74

34. ŁÓDZKI PRZEGLĄD TEATRÓW AMATORSKICH

9/10.10.2021

w sieci

więcej informacji:
Zespół ds. Teatralnych ŁDK
tel. 797326199, 797326205
teatr@ldk.lodz.pl
www.ldk.lodz.pl
www.facebook.com/lopta.ldk



ŁÓDZKI DOM KULTURY
INSTYTUCJA KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŁÓDZKIEGO



województwo
łódzkie

